

# Grotas



AGNIESZKA GOŁAS



## „Tam jest taki Zelwerowicz. Nie lubimy się specjalnie, ale może się pan na mnie powołać”

**Gustaw Holoubek** Chciałbym dać wyraz mojej miłości wobec Wiesława. To jest, moim zdaniem, naprawdę zjawisko, które zdarza się raz na kilkaset lat. W całej swojej karierze teatralnej nie spotkałem podobnego aktora, tak dokładnie zrośniętego z naturą sceny.

To nie ty wybierasz zawód, ale on ciebie. To znana prawda. Mam masę kolegów pracujących na scenie i estradzie, którzy nie mają żadnych studiów aktorskich, reżyserskich czy muzycznych, a jednak zostali artystami, i to takimi, którzy przejdą do historii naszej sceny. Wojtek Młynarski jest z wykształcenia polonistą. Jerzy Wasowski był inżynierem, a Jeremi Przybora ukończył anglistykę. Ja miałem być zawodowym oficerem. Ojciec szykował mnie przecież do kadetów. Przeszkodziły w tym jego śmierć i wojna. Oficerem nie zostałem, ale „dzięki wojnie”, przez udział w konspiracji, otarłem się o wojsko. Mama natomiast chciała, żebym został księdzem, a najlepiej proboszczem. Marzyła o rodzinnej wiejskiej sielance, żebyśmy mieli dworek, bryczkę i żeby zawsze być obok mnie.

Nie spełniłem jednak nadziei mojej rodziny i dobrze się stało. Parę dni temu spotkał mnie zaszczyt, wielka radość

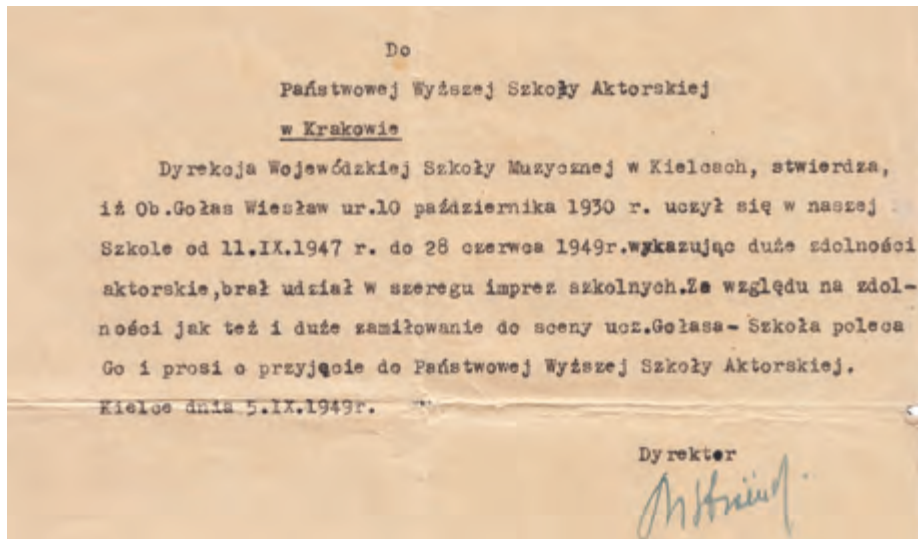


Gustaw Holoubek

i poczułem się naprawdę wzruszony. Koło Teatru Polskiego zaczęła mnie gromada dzieci i młodzieży. O autograf poprosiło mnie paru malców. Zdziwiłem się, ponieważ nie wychodzili z teatru po spektaklu Sindbada, więc spytałem jednego chłopaczka, czy mnie zna. I skąd? Powiedział, że widział mnie w *Czterech pancernych* i że jestem Tomuś. A jedna z opiekunek starszej młodzieży dodała, że jej uczniowie oglądają pokazywane ostatnio w telewizji odcinki Kabaretu Starszych Panów! Na szczęście istnieją jeszcze grupy ludzi, i to młodych, którzy mają serce do typu humoru, niestety, nie do powtórzenia, stworzonego przez Jeremiego Przyborę i Jerzego Wasowskiego. Cieszę się, że jednak zostałem aktorem. Wciąż, po pięćdziesięciu pięciu latach pracy, obok autografu rysuję maluchom czołg.

Grać zacząłem już, kiedy byłem w gimnazjum. W kielckim Teatrze imienia Stefana Żeromskiego wystawiano *Krakowiaków i górali* i grałem tam jednego z harnasiów. To znaczy właściwie statystowałem: tańczyłem i śpiewałem za parę groszy. W Kielcach mieszkał wówczas i pracował nieżyjący już Rysio Pietruski, który w *Krakowiakach i góralach* grał rolę Bryndasa. Kiedyś zdarzyło się, że podczas próby zachorował. Reżyser spektaklu Hugo Moryciński zatrzymał cały zespół na scenie i, wiedząc, że znam na pamięć rolę Rysia, zaproponował, żebym następnego dnia go zastąpił. Byłem w siódmym niebie. Odbyła się nocna próba, zostałem przygotowany. Następnego dnia Rysio jednak wyzdrowiał i moje marzenie się nie spełniło.

W Teatrze Żeromskiego poznałem Leona Schillera, który przyjeżdżał na próby generalne. Tak na marginesie, jego asystentką była Basia Fijewska, siostra wielkiego aktora Tadeusza Fijewskiego. Po jednej z takich prób Schiller zawołał mnie do siebie i powiedział: „Niech pan lepiej nie zaczyna od teatru, ale raczej od szkoły” i doradził mi szkołę aktorską w Warszawie. „Tam jest taki Zelwerowicz – mówi. – Nie lubimy się specjalnie, ale może się pan na mnie powołać”. Zrobiłem tak, jak mi poradził, i pojechałem do Warszawy, ale trochę później, bo najpierw był Kraków i opera w Bytomiu.



Po zdaniu matury i złożeniu profesorowi Makuszkowi przysięgi na piśmie, że nigdy nie będę nauczał matematyki, pojechałem na egzamin do szkoły teatralnej w Krakowie. Bardzo chciałem być wtedy w Krakowie, między innymi dlatego, że miałem tam przecież rodzinę – brata ojca, Edka. W Krakowie studiowała też przez jakiś czas moja siostra Basia. Do egzaminu podchodzili ze mną wtedy Bobek Kobiela i Zbyszek Cybulski. Ja jednak nie zdałem, ponieważ poszły za mną moje papiery, w których czarno na białym było napisane: ojciec – oficer sanacyjny, a potem żołnierz AK, ja – w Szarych Szeregach.

A egzamin w Krakowie wyglądał tak. Za komisją zasiadającą przy długim stole, na krzesłkach ustawionych wzdłuż ściany, siedziało paru facetów. Kiedy wszedłem do sali, zapytano mnie o nazwisko i zaczęto przeglądać moje papiery. Faceci z drugiego rzędu szeptali coś do ucha członkom komisji egzaminacyjnej. Ci kiwali głowami. Na egzamin przygotowałem moją ulubioną, żywiołową *Panią Twardowską*, ale komisja poprosiła mnie o *Stepy Akermanskie*. Proszę bardzo, wyrecytowałem. Liczyłem na jakieś aktorskie zadanie, a tu wiersz. I po mojej recytacji – koniec. Dziękujemy, to wszystko.

No i wróciłem do Kielc. Stracony rok, na studia się nie dostałem, pracy nie mam, a nie powodziło nam się wtedy najlepiej. Miałem jednak dopiero dwadzieścia lat i całkiem fajny bas baryton. Zdecydowałem więc, że spróbuję zostać śpiewakiem..

Do tego zawodu też miałeś jakieś przygotowanie. Uczyłeś się przecież śpiewu w szkole muzycznej.

Tak jest, trzy lata w klasie śpiewu pani profesor Skalskiej. Brałem udział w publicznych koncertach klasowych, śpiewałem pieśni Stanisława Niewiadomskiego, Zygmunta Noskowskiego.

Stanałem więc do egzaminu na solistę operowego w Operze Śląskiej w Bytomiu. Wtedy była to świetna, znana w całej Polsce scena operowa i o przyjęcie do niej starało się wielu doskonałych zawodowych śpiewaków. Przeszedłem trzy etapy eliminacji, w trakcie których z ponad czterdziestu kandydatów zostało nas sześciu. Przed dyrektorem opery odśpiewałem arię toreadora z *Carmen*, arię Chorążego z *Hrabiny* („Ruszaj, bracie, ruszaj w pole!”) i *Krakowiaka* Moniuszki. I zdałem. Jednak dyrektor przyjrzał mi się uważnie i powiedział: „Pański głos może jeszcze przechodzić mutację. Gdyby śpiewał pan od dzisiaj, mógłby pan uszkodzić sobie struny głosowe i dlatego teraz nie mogę pana zatrudnić. Ale proszę przyjść do mnie za dwa lata”. Dostałem pismo, które wraz z ustnym zapewnieniem

Państwowa Opera Śląska z siedzibą w Bytomiu ul. Moniuszki 21. L. dz.  
Pers. 215/50. Bytom, dnia 30 czerwca 1950r. Zaświadczenie. Zaświadcza  
się niniejszym, że Ob. Gołas Wiesław zam. w Kielcach, Mahometajska 3,  
wziął udział w audycji dla kandydatów na artystów operowych przed Ko-  
misją Artystyczną Państwowej Opery Śląskiej w Bytomiu w dniu 24.VI.  
1950r. Kandydat nie mógł zostać zaangażowany do wymienionego Teatru  
ze względu na młodociany wiek. Jednakowoż Komisja stwierdziła, że po-  
siadając odpowiednie warunki głosowe, powinien szkolić głos i kształ-  
cić się muzycznie. Kierownik Personalny - podpis nieczytelny. Dyrek-  
cja Państwowej Opery Śląskiej - podpis nieczytelny. (m.p.)-

dyrektora miało mi zagwarantować zatrudnienie w tej operze w przyszłości, gdy, jak powiedział dyrektor, mój głos już się ukształtuje i będzie wiadomo, w jakim rejestrze ostatecznie powinno się go „ustawić”.

Mimo obietnicy dyrektora do opery bytomskiej już jednak nie wróciłem. Pojechałem do domu. W Kielcach ktoś załatwił mi pracę w Domu Kultury Fizycznej i Sportu, dawnym Domu imienia Józefa Piłsudskiego. Skorzystałem z okazji, bo trzeba było pomóc mamie i Baśce. W pracy musiałem zajmować się buchalterią, co było dla mnie koszmarem, bo to przecież matematyka. W słupkach i procentach pomagała mi więc mama, a ja zajmowałem się sprzętem sportowym i, nie ma co ukrywać, robiłem to, co lubiłem, czyli grałem w piłę – koszykówkę, siatkówkę, piłkę nożną. Cały czas zastanawiałem się, co tu zrobić, żeby jednak dostać się do szkoły teatralnej? I wiesz, co zrobiłem, ja, bezczelny Gołas? Razem z sześcioma kolegami z Domu Kultury Fizycznej i Sportu założyłem koło TUR<sup>8</sup>, po czym z dokumentem poświadczającym ten fakt pojechałem do Warszawy, do szkoły teatralnej.

Przystąpiłem do egzaminu wstępnego. Przygotowałem sobie swojego ukochanego Jaśka z *Wesela* Wyspiańskiego. Zawsze marzyłem, żeby go kiedyś zagrać, ale, niestety, nigdy to nie nastąpiło. A więc Jasiek z *Wesela* i oczywiście *Pani Twardowska*, której nie udało mi się zademonstrować w Krakowie. W komisji za stołem pośrodku siedział Zelwerowicz, Woszczerowicz z boku, w sumie było kilkanaście osób. Zelwerowicz spytał mnie, co mogę komisji zaproponować. Ja na to, że proponuję Jaśka i *Panią Twardowską*. Zelwerowicz wybrał Jaśka. Najpierw jednak poszedłem do kąta, żeby się skupić... i wyskoczyłem: „Maryś, panie, panie – Jezu, koń w podworcu padł! Cóż to, co to, czy zakłęci... Stoją wszyscy jak pośnięci...”. Zelwer grubym głosem: „Dziękuję, ja dziękuję”. Wtedy Woszczerowicz poprosił o *Panią Twardowską*.

Zaczynam więc, ale on po chwili mi przerywa i podskakuje do mnie. Tak, tak, podskakuje. On, taki malutki, zgięty



Aleksander Zelwerowicz

wpół, porusza się bardzo żwawo, szybciotko. I mówi tym swoim charakterystycznym głosikiem: „Panie, to nieważne, co tam było. Ja bym chciał, żeby mi pan oddał tamtą atmosferę, wie pan, tam pija, pijaństwo się odbywa...”. Nie trzeba mi było dłużej wyjaśniać, o co chodzi. Odegrałem scenę pijaństwa, co zawsze dobrze mi szło, Woszczerowicz podziękował i zdałem. Egzamin nie trwał więcej niż dziesięć minut. W Krakowie szybko mnie odrzucili, a w Warszawie szybko przyjęli. Poza tym, że miałem zaświadczenie o założeniu koła Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego, w szkole nie znałem nikogo. Nie mogłem przecież powołać się na Schillera podczas egzaminu.

**Magdalena Zawadzka** Wiesio nie musiał się uczyć i kształcić. Być może profesowie jedynie pokazali mu jakiś tor, może go ociosali z jakiejś nieporadności, jaką ma każdy, kto przychodzi do szkoły teatralnej. Z ich strony to była tylko działalność pomocnicza, ponieważ jego talent był i jest tak ogromny, że nawet jeśli gra coś, co jest tylko miniepizodem, jeśli nie ma w tym śladu tekstu, to potrafi swoim wielkim talentem zaczarować ludzi na tę jedną sekundę.

Pamiętam, jak lubiłeś pseudointelektualny językołamacz, czyli aktorskie ćwiczenie dykcji, który zapamiętałeś ze studiów: „Wskutek chaotycznych komplikacji i efemerycznych faktów salwowania równowagi między potencjami, deprecjonując pryncypialnie od insynuacji manifestowanych przez notyfikację konferencyjną... to prawda, że trojometr wpływa zgrzylicznie na basy interficzne, a dezynwoltura wpływa chemiodrycznie na macerację...”. Tato, kto był wtedy twoim mistrzem?

W szkole moimi mistrzami byli Aleksander Zelwerowicz, Jacek Woszczerowicz i Aleksander Bardini. Wiersza uczył mnie Marian Wyrzykowski. Na studiach wiersz mnie trosz-

kę krępował. Czułem się ograniczony przez formę: deklamując, wciąż myślałem o tym, że musi się zrymować. Kiedy miałem trudności ze zharmonizowaniem rymu z treścią, Wyrzykowski zawsze mawiał, że należy mówić z sensem, a wiersz sam się zrymuje.

Woszczerowicz był malutki, a Zelwer – wielki chłop o szerokich barach. Byli diametralnie różni, mieli różne metody nauczania gry aktorskiej i w związku z tym odmienne wobec nas oczekiwania. Wciąż był ten sam problem: uczyli nas obaj, a każdy chciał czego innego, i nie wiadomo było, dla kogo grać. Dla Zelwerowicza grało się szeroko, a dla Woszczerowicza trzeba było więcej myśleć, grać oszczędniej, bardziej mózgiem, intelektualnie.

Kiedy stawałem, żeby powiedzieć wiersz, Zelwerowicz wołał moich kolegów: „Proszę pana Leśniaka i pana Pieczkę wykręcić ręce panu Wiesławowi. Do bólu, do bólu!”. Chłopcy podchodzili, łapali mnie za ręce i wykręcali je do tyłu, bo mówiłem „całym sobą”, rękami, inaczej nie umiałem. Tak właśnie uczyłem się deklamować. Kiedy recytowałem *Panią Twardowską*, Woszczerowicz mnie instruował: „Panie, jak pan mówi «jedzą, piją, lulki palą...», to niech pan o tym pomyśli”. Ja traciłem energię, mówiłem, machając rękami, „fizjologicznie” recytowałem kwestię, tak mocno wierzyłem w to, co mówię, a Woszczerowicz chciał, żebym dotarł do widzów inaczej: skupił się przekazu na słowie.

Zelwer nauczył mnie prawdy w aktorstwie i uczciwości wobec widza. W czasie zajęć sadzał każdego z nas na podwyższeniu w sali wykładowej i mówił: „Gdy stuknę laską raz, to będzie pan się śmiać, a gdy stuknę dwa razy, będzie pan płakać”. Uczyłem się, jak pokazać radość, a zaraz potem, w mgnieniu oka, wpaść w rozpacz. I musieliśmy to robić absolutnie szczerze. Choć przecież graliśmy, to musieliśmy grać bez udawania. Autentycznie. Bo widz oszukać się nie da. Byłem chyba pupilkiem Zelwerowicza, bardzo się lubiliśmy. Był sparaliżowany i pamiętam, jak wnosiliśmy go siedzącego na krzeselku na pierwsze piętro do sali wykła-

dowej. Opowiadał nam o teatrze, o grze aktorskiej. Z niektórych jego wykładów wnoszę, że pewne cechy mieliśmy wspólne, tak samego siebie pocieszam. Siadał i zaczynał: „Pamiętam, była taka sztuka, grał w niej... eee, eee...”. I zaraz: „Przerwa, przerwa! Wychodzić! Wychodzić! Jak usłyszycie, że stukam laską, to możecie wejść”. Po dziesięciu, piętnastu minutach stuknął laską, więc wracaliśmy do sali, a Zelwerowicz pamiętał już nazwisko tego aktora. Do dyplomu wpisał mi się: „Wiesiowi Olutek, dwa aktory, jeden młody, drugi stary”.

Wszyscy chyba wiedzą, że Zelwerowicz miał pewien problem: był uzależniony od pożarów...

Tak. Kiedy coś się w okolicy paliło, natychmiast jechał popatrzeć. Był ze strażą pożarną umówiony, że w razie pożaru będą go zawiadamiać. Dzwonili do niego i jechał. Potrafił nawet przerwać próbę.

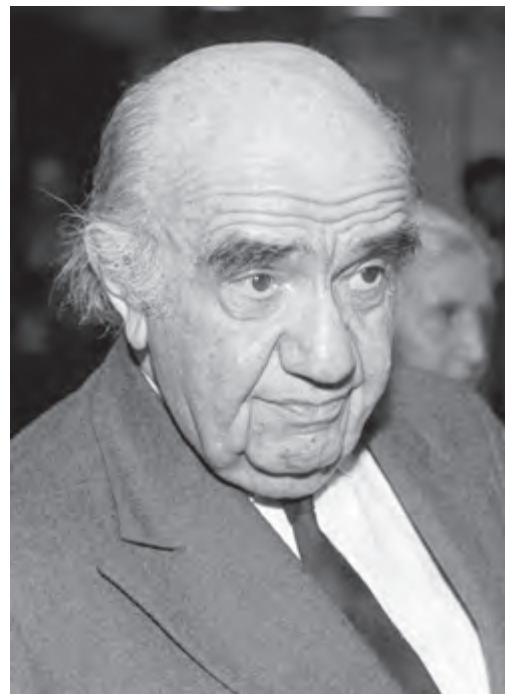
Wielu ludzi ma podobnie, i w stopniu, niestety, ogólnie akceptowanym: uwielbiają patrzeć na nieszczęścia innych. Kiedyś natknąłem się na zgromadzenie w sklepie, gdzie zemdląta kobieta. Stali naokoło niej, pochylali się, kiwali głowami, mówili „ovej” i „ooo...”. Ja tego nie rozumiem: jak komuś coś się stanie, to pomagam, a jak nie mogę pomóc, to odchodzę. Na radość mogę patrzeć zawsze, ale nie na dramaty.

Kiedy zmarł Aleksander Zelwerowicz, przyjechaliśmy wszyscy do Warszawy na jego pogrzeb. Wspominam go jako cudownego człowieka i pedagoga, tak wiele mu zawdzięczam. Miał też różne przyzwyczajenia. Kiedy byłem w szkole teatralnej, czasami pożyczal mi pieniądze na pociąg do Kielc. Zwrot długu musiał jednak nastąpić nie tylko konkretnego dnia, ale i o wyznaczonej godzinie. I nigdy nie mogłem go zawieść, wiedziałem, że czeka i że muszę być punktualnie. Pamiętam, że jeszcze wtedy nie było mnie stać na zegarek, więc kiedy po powrocie z Kielc ustalonego dnia zjawiałem się pod jego domem, musiałem pytać przechod-

Wiesiowi  
Olutek,  
dwa aktory,  
jeden młody,  
drugi stary.  
A. Zelwerowicz  
Warszawa 22/11/57r.

niów o godzinę, by być u niego w mieszkaniu punktualnie co do minuty. Kręciłem się pod domem, kręciłem, co chwila pytając o czas, a potem, gdy była za minutę umówiona godzina, pędziłem na górę, dzwoniłem do drzwi i czekałem. Po chwili z głębi mieszkania dochodził jego gruby głos: „Już idę, idę”. Po chwili znowu: „Proszę czekać, ja już idę, idę”. Poruszał się już wtedy wolno, o lasce, słyszałem szuranie kapci. Czekałem dość długo, a on co chwila uspokajająco wołał: „Już idę, idę”. Wpuszczał mnie w końcu do środka, oddawałem mu dług i wtedy zwykle proponował mi kieliszek nalewki, którą bardzo lubił, a której nie wolno mu było pić ze względu na zdrowie. Mówił mi, co gdzie stoi, ja już wiedziałem, że wszystko jest w kredensie, podawałem więc, co trzeba. Pilnowała go gosposia, więc w tajemnicy przed nią po cichutku wypijaliśmy po kieliszku i ucinaliśmy sobie bardzo ciekawe pogawędki. Ogromnie lubiłem te nasze rozmowy, to był mój wielki mistrz. Tak było na studiach, a krótko po moim wyjeździe do Jeleniej Góry Zelwerowicz już nie żył.

Bardzo mi również brak profesora Aleksandra Bardiniego, z którym miałem zajęcia, kiedy Zelwerowicz był już bardzo chory. Kiedy chciał mnie do czegoś przekonać, zaczynał od słów: „Ja jestem, Wiesiu, stary Żyd”. Z nim też byłem bardzo blisko, jako aktora znał mnie doskonale, od podszewki. Zawsze wyczuł, kiedy dobrze mi szło, a kiedy źle. Kiedyś w jakimś wywiadzie, opowiadając o współpracy reżysera z aktorem, powiedział, że „jeśli chodzi o Gołasa, to miałby tylko jedną wskazówkę dla reżysera: nie przeszkadzać”. Bardzo się ucieszyłem, kiedy to przeczytałem. Po skończeniu szkoły przez wiele, wiele lat niezmiennie po każdej premierze dzwoniłem do Saszy i pytałem, jak poszło, jak mu się podobało, czy dobrze zagrałem? A „Saszą” był dla mnie tylko po cichu, bo zwracałem się do niego zawsze per „panie profesorze”.



Aleksander Bardini



Tata z kolegami z roku

### Zbigniew Bogdański

Wiesiowi jako studentowi aktorstwa nie można było narzucić jakiegokolwiek konstrukcji, jakichkolwiek ram. Nam jego żywiołowość niezwykle się podobała. I nie rozumieliśmy, dlaczego Zelwerowicz każe naszym kolegom trzymać go za ręce, żeby nimi nie wymachiwał, kiedy grał. Zelwer Wiesia ubóstwiał. To był ukochany jego student. Zresztą Wieśka nie dało się nie lubić.

Zdaje się, że byliście jako studenci aktorstwa izolowani od teatrów i filmu. Nie pozwalano występować nigdzie w trakcie studiów? I jak to „zamknięcie” odbieraliście jako studenci i już przecież młodzi aktorzy?

Nie przypominam sobie, byśmy się tym przejmowali. Rzeczywiście, na studiach nie wolno nam było występować poza szkołą teatralną, a szkoda, bo może lepiej byłoby, gdybyśmy jednak nie byli izolowani. To Zelwerowicz był zwolennikiem tej metody. Jednak studia były niesamowicie



Wspólne zdjęcie podczas próby spektaklu dyplomowego *Nadzieja* Hermana Heijermansa, 1954.

Od lewej siedzą: Jerzy Dobrowolski, Wiesław Gołas, Jerzy Fornal, Felicja Tiberger, opiekun i reżyser profesor Marian Wyrzykowski, Irena Szymkiewicz, NN, Mieczysław Czechowicz.

Od lewej stoją: NN, Zbigniew Bogdański, NN, Franciszek Pieczka, Danuta Gallert, NN, Zdzisław Leśniak, Danuta Firek, Aleksandra Dmochowska, ucharakteryzowany na starca Eugeniusz Robaczewski, NN, Maria Broniewska, NN

czasochłonne; sędzę, że i tak nie mielibyśmy czasu na występy. Więc może to i dobrze?

Niezwykle cenne w PWST było to, że mieliśmy tam tak różnych profesorów, a w związku z tym stawiane odmienne wymagania. To, co było dobre u Zelwera, było złe u Woszczera i odwrotnie. Pamiętam na przykład pewną etiudę z przedmiotem nieistniejącym: ja udawałem pająka i tkąłem pajęczynę, w którą wpadał Wiesiek, udający dwie muchy. Krzyczałem wtedy: „O, dwie muchy, dwie muchy!” i to Woszczerowiczowi bardzo się podobało, a Zelwerowiczowi nie. Musieliśmy więc zawsze bardzo uważać, dla kogo gramy, i dzięki temu po prostu uczyliśmy się aktorstwa. Mieliśmy też profesora Popioła, który do przesady poważnie traktował sprawę dykcji. Nigdy nie zwracał uwagi na to, o czym się do niego mówiło, tylko wciąż nas poprawiał. Kiedyś z okazji fuksówki zrobiliśmy etiudę, w której jeden z nas wołał do kolegi grającego profesora Popioła: „Panie profesorze, pali się! Pożar!”. A profesor odpowiadał na to: „Spokojnie. Mówi się: po-żar, pa-li-się”. „Ale panie profesorze! Pierwsze piętro w płomieniach, trzeba uciekać!”. „Mówi się: trze-ba”, odpowiadał profesor dykcji. A puenta tej etiudy była: „I pozostał tylko Popiół”. Taka fantazja i poczucie humoru nas wtedy łączyły.

W szkole aktorskiej. Tata na cokole. Na odwrocie tata skomentował zdjęcie tak:  
„Ja tu gram na fujarce, oczywiście z przedmiotem nieistniejącym, i zaraz skaczę z tych kubów i porywam jedną z tych «duszków leśnych», tę najmniejszą – Basię Grzybową, jest już mężatką. Ale że jest najmniejsza, więc dlatego ją porywam. Po co mam się mordować?”



„W całej mojej karierze nie spotkałem podobnego aktora,  
tak dokładnie zrośniętego z naturą sceny”

– Gustaw Holoubek.

---

### **Wiesław Gołas**, aktor wszechstronny, wielki i... skromny.

Znany najlepiej z ekranu (Kapitan Sowa, Tomuś w *Czterech pancernych*, Oficer UB w *Zezowatym szczęściu*, Ogniomistrz Kaleń, Stefan Waldek w *Dzięciole*, baron Krzeszowski w *Lalce*, kierowca w *Drodze*), kochający nade wszystko teatr. „Musisz połączyć postać. Wtedy jesteś prawdziwy” – powtarzał i był nieskończenie prawdziwy jako Papkin w *Zemście*, Laertes w *Hamlecie*, Skierka w *Balladynie* czy... Hula-Babula w *Zaczarowanej królownie*. Genialny w rolach kabaretowych – w legendarnym Koniu, znakomitym Dudku czy niezrównanym Kabarecie Starszych Panów. W *Polskę idziemy* i *Tupot białych mew* to wzorzec z Sèvres wykonania „piosenek z tekstem”, natychmiast kojarzonych z Wiesławem Gołasem. Kto tak jak On zaśpiewałby *Piekielnego twista*?!

I kto jak On – w szczerzej rozmowie z córką – opowiedziałby i o drugiej stronie medalu, pokazując nie tylko uśmiechniętą twarz.

Tę rozmowę ubarwiają wspomnienia przyjaciół Aktora – tworząc jedyny w swoim rodzaju PORTRET NIEZNANEGO ZNANEGO GOŁASA.

---

„Ukończył warszawską szkołę teatralną, ale ma w swojej osobowości cechy, których żadna szkoła nie nauczy”

– Wojciech Młynarski.

---

**Agnieszka Gołas** jest autorką wywiadu-rzeki z ojcem oraz książki *Rodzinę mniej znaną pożyczę na chwilę*. Publikowała felietony w magazynie „Unia & Polska”, artykuły w „Polska. The Times” oraz drobne formy satyryczne w „Przekroju”. Jest też tłumaczką z języka angielskiego.



cena 49,90 zł

PATRYKAT MEDALNY



BOOKLIPS.PL III



PATRYKAT

